Rok IX. Kraków, 1. kwietnia 1906. Nr. 7.

NUMER-WIOSENNY

„BOCIAN"



Pokojówka pani pyta,
Czy nic więcej już nie kładzie,
Bo w kostyumie takim lekkim
Zmarznie dziś na promenadzie!

Pani na to: »To co wdziałam,
To wystarczy mi za wszystko,
Bo dla bliźnich się poświęcam,
Gdyż nie jestem egoistką!

I ponętną swoją kibić
Prezentuje przed służącą:
»Choć mnie w sukni chłodno będzie,
Innym — zrobi się gorąco!

C. k. Sąd krajowy jako prasowy na wniosek c. k. Prokuratora Państwa po myśli §. 493 p. k. orzekł, że zamieszczone w Nrze 6 czasopisma »Bocian« z dnia 15 marca 1906, artykuł, względnie ustępy artykułów pod tytułem: 1) »Nie zawsze prawd « str. 2, łam. 3 w całości; 2) »Tylko chamy« od wyrazw: »pan hrabia« do końca. str. · łam. 2; 3) »Autentyczny list »Mateczki« Kozłowskiej« z Tow. »Maryawitów« str. 4, łam. 3 w całości; 4) »Co to jest kwestya kobieca?« a) od wyrazów »na przodzie« do wyrazów »na sali« , str. 9. łam. 2 oraz b) od wyrazów »pannom błyszczą« do wyrazów »oddechy przyspiesrone« str. 6, łam. 3 — Zawierają znamiona występku z § 516 u. k. — że zakazuje się rozszerzania tych artykułów: zatwierdza się zarządzoną przez c. k. Prokuratoryę Państwa konfiskatę pomienionego numeru a cały nakład takowego ma być zniszczonym. C. k, Sąd krajowy jako prasowy L. III. Kraków, 13 marca 1906. Pogorzelski.

Od Administracyi.

Wszystkich naszych P. T. Abonentów prosimy o rychłe nadsyłanie prenumeraty na kwartał następny, kto bowiem nie nadeszle, następnego numeru już nie otrzyma.

Prenumerata kwartalna już wraz z przesyłką pocztową wynosi

tylko 2 korony!!!

W szkole.

Nauczyciel: Wymień mi sześć zwierząt z okolicy podbiegunowej.

Uczeń: 4 niedźwiedzie i dwa psy morskie.

W Amerykance.

— Panie Edmund! Cóż za podłe i drogie papierosy macie! Pewnie tytoń w nich po 7 centów?

— Przepraszam pana dobrodzieja — odpowiada płatniczy — tytoń po 21 centów!

— Co pan blagujesz? Taki tytoń nawet nie istnieje!

— Co nie istnieje? Biorę zawsze do tych papierosów 3 paczki po 7 centów — więc czy to nie 21?...

Jak można się pytać?

Pani Bzdurska (do córki): A więc przyznaj się przynajmniej, kto to był?

Córka (płacząc): Ach, złota mamusiu, naprawdę niewiem, jak on się nazywa.

Pani Bzdurska (oburzona): To straszne! Wyrodna córko! Nawet go nie znasz? Przecież mogłaś zapytać poprostu: Przepraszam, ale z kim mam przyjemność? *sigma.*

Między przyjaciółkami.

Hela: Jak się ten facet nazywa, który był u ciebie wczoraj?

Fela: Jak się nazywa — nie wiem, ale na bieliźnie miał monogram L. B. *sigma.*

Humor złodziejski.

Zbrodniarz (do obrońcy, przed wyrokiem): Panie obrońco, jeśli mię dziś uwolnią — to daję panu słowo honoru, że będziesz pan mógł cały rok żyć ze mnie! *sigma*

U Garfunkla.

W restauracyi Garfunkla we Lwowie, woła właściciel do damy z bufetu:

— Lolu! Daj panu oficerowi citryne, niech czie widuszi!

Mimowoli musiał opuścić.

Pan X. znany w Krakowie jako zdolny architekt i budowniczy — ma jedną słabą stronę, że się trochę jąka. Najtrudniej zaś przychodzi mu wymówić słowa, zaczynające się na *p* i wtedy zwykle jak się zatknie, to ani rusz dalej ruszyć nie może.

Niedawno temu przychodzi do biura pana X. jeden z jego klientów, aby uregulować rachunek za zrobiony przez pana X. planik.

Za planik należało się 50 koron.

— Ile zatem jestem dłużny — pyta klient?

— Pie... pie... zaczyna się jąkać p. X. przy nieszczęśliwej literze *p*, widząc jednak, że nie da rady, opuszcza odrazu w myśli i mówi szybko: Czte...erdzie...ści dzie...ewie...ęć koron i dzie...e... więćdzie...esiąt dzie...ewięć hale...erzy.

Zawsze kupiec.

Pan Z., znany w Krakowie facecyonista, opowiada niedawno kółku znajomym w kawiarni Drobnera następującą anegdotę:

Na połów ryb na morze wybrało się barką grono rybaków, między którymi był także pewien Japończyk, oficer z pod Portu-Artura i rajzender żydek. Gdy wracali już z dobrym połowem, ujrzano tuż za statkiem płynącego rekina. Ponieważ statek był bardzo mały, rekin zaś, jak było widać, potwornej wielkości, zachodziła obawa, że potwór wywróci barkę i wszyscy zginą. Uradzili więc, aby co jest w barce niepotrzebnego, wyrzucić rekinowi na pożarcie i tym może sposobem odwrócić jego uwagę od łodzi. Wyrzucono więc dwie duże drewniane ławki, jakie się w barce znajdowały. Rekin połknął ławki, płynie jednak dalej i na nieszczęście już jest coraz bliżej łodzi z rybakami. W łodzi znajdowały się jeszcze 2 duże worki z jabłkami — postanowili więc rzucić jeszcze i te dwa worki, przypuszczając, że potwór zadowoli się jabłkami i zostawi łódź z rybakami w spokoju. I worki z jabłkami znalazły się za chwilę w żołądku potwora — łodzi jednak nie spuszczał z oka, ale płynął dalej i coraz bliżej.

Strach ogarnął rybaków. Ktoś zrobił przypuszczenie, że potworowi może wystarczy trochę tylko mięsa ludzkiego, uradzono więc aby poświęcić jednego człowieka, a w ten sposób uratować życie reszcie. Aby jednak dać potworowi coś niezwykłego, tak, aby miał dosyć jednego — postanowili rzucić w morze Japończyka, przypuszczając, że mięso Japończyka będzie dla rekina jako nowość przysmakiem.

Rzucono więc Japończyka w morze i za chwilę biedak zniknął w otwartej paszczy potwora. Nic jednak nie pomogło — rekin płynął dalej. Postanowili więc rzucić żyda. Pomimo krzyków jego i wołań, że „protestuje“ — rzucono go również w morze i tak jak i poprzednika połknął go rekin.

W tejże jednak chwili ukazał się jakiś duży okręt na morzu, a widząc rekina, zarzucono harpuny, zabito potwora i wyciągnięto na pokład. Rozpłatano brzuch potwora i co państwo sądzicie — co zobaczyli wewnątrz żołądka zdumieni marynarze?

Otóż na jednej ławce siedział w żołądku rekina Japończyk, po drugiej zaś stronie rozłożył sobie na drugiej ławce żyd dwa worki z jabłkami, połknięte przez rekina i sprzedawał jabłka spragnionemu Japończykowi.

Woda kolońska.

Humoreska.

Przed kilku tygodniami postanowiłem odwiedzić mego najlepszego przyjaciela Freda, z którym niejeden dzionek i nockę przepędziliśmy razem, w czasie jeszcze kiedy stał pułk jego w Budapeszcie. Przed kilku laty przeniesiono go niestety wraz z całym pułkiem w głąb Galicyi, do jakiejś obskurnej dziury — i od tego czasu nie widzieliśmy się zupełnie. Jakaż więc szalona radość malowała się na twarzy mego przyjaciela, kiedy nie zapowiedziawszy się wcale, wpadłem wczas rano prosto z pociągu do mieszkania mego przyjaciela.

Freda zastałem jeszcze w łóżku. Jak na taką galicyjską dziurę, przyjaciel mój miał mieszkanie wcale przyzwoicie urządzone i umeblowane. Eleganckie łóżko, ładne stylowe krzesełka i marmurowa umywalka. Pomiędzy przepaskami na wąsy, szczoteczkami do zębów i mydłami, zwrócił przedewszystkiem moją uwagę duży elegancki flakon, na którym złotymi literami widniał wypisany napis:

Johann Maria Farina's
echtes Köln-Wasser.

Znając Freda od dzieciństwa prawie, wiedziałem, że nie znosi żadnych perfum. — wyraziłem więc zaraz moje zdziwienie, zapytując, czy się przypadkiem nie kocha?

— A z czego to wnosisz?

— Z tej flaszki z wodą kolońską — wiem bowiem, że taki flakon kosztuje zawsze kilka guldenów?

— Ba! Gdyby to kilka guldenów — trochę drożej!

— Drożej? Tem gorzej, przypuszczenie moje ma więc podstawę, jeżeli kupujesz perfumy po kilkanaście guldenów?

— Mylisz się! Przypuszczenia twoje są błędne — flakon ten jednak chowam na pamiątkę, kosztował mnie bowiem przeszło sto tysięcy guldenów.

— Wiesz co, ale albo blagujesz, albo też masz mnie za głupca, nigdy bowiem nie uwierzę, aby flakon wody kolońskiej wartości kilku guldenów, mógł kosztować sto tysięcy guldenów.

— A jednak niestety prawda — odpowiedział Fred. — Zresztą jako przyjacielowi memu, mogę ci historyę tę opowiedzieć, pod warunkiem jednak, że zatrzymasz ją przy sobie. Otóż rzecz miała się następująco. Przed trzema laty, kiedy byłem jeszcze tylko porucznikiem, dostaję od ojca list, w którym pisze mi, że wuj mój, a rodzony brat mej matki, starzec prawie siedmdziesięciokilo-letni, chory prawie nieuleczalnie, poślubił młodą ośmnastoletnią panienkę. Przeszkodzić temu się nie dało. Ponieważ jednak wuj posiadał majątku przeszło dwakroć sto tysięcy guldenów, trzeba było bodaj coś z tego uratować, aby w razie śmierci młoda wdowa wszystkiego nie zabrała, wuj bowiem jest w niej tak rozkochany, że gotów dla niej wszystko zrobić. Ty zaś — pisze mi ojciec — jako jego pupil i ulubieniec, może przecie co wskórasz. Jedź więc zatem natychmiast i rób co się da.

Nie namyślałem się długo — wziąłem urlop i w kilka dni po otrzymaniu listu ojca, byłem już w majątku mego wuja na Węgrzech.

Wuj przyjął mnie z otwartymi rękoma i nadzwyczaj serdecznie, a następnie przedstawił swojej młodej żonie, pani Emie. Przyznam ci się, że byłem zdumiony i nie dziwiłem się, że stary dla takiej kobiety zwaryował. Czarne, jarzące się oczy, hebanowe włosy, cera jak kość słoniowa, ząbki jak perły, biust, nóżka — słowem stanąłem jak głupi wobec tylu wdzięków, nie wiedząc po prostu na co pierwej patrzeć.

Pomimo najszczerszych chęci, nie mogłem mojej rywalki do spadku po wuju nienawidzieć, tak dyabelnie ładną i apetyczną była. Cały dzień zastępowałem jej zajętego w tym dniu wyjątkowo wuja, który miał interesantów przybyłych z daleka, w sprawie jakiegoś kupna i zjawił się dopiero wieczorem przy kolacyi. Wujenka moja była w znakomitym humorze, ja również, stryj tylko przebąkiwał ciągle coś o śmierci, co niestety zważyło trochę nasze humory. Po kolacyi z poważną miną zaprosił mnie stryj do swego gabinetu i przemówił do mnie w następujący sposób:

— Kochany Fredziu! Wiem, że cała rodzina ma mi za złe to, że się ożeniłem, ale bądź spokojny, krzywdy przedewszystkiem tobie nie zrobię...

— Ależ myli się stryj — przerwałem — ja ani też nikt z rodziny nie mamy żadnej pretensyi...

— Mój kochany, nie przerywaj, ale słuchaj. Otóż chciałem ci właśnie powiedzieć, że przed kilku dniami sporządziłem notaryalny testament,

List chórzystki.

Kochana Feluniu!

Muwim ci nastała ci frajdacja taka że morzna boki wyrwać. Pomyś tylko. Paflikoski i Grompczeski idą na złamanie karku a przychodzi na zad nasz Cheler ukochany dyrektor. Powiadamci pożuć chet swuj durny zawut i wracaj do tyjatru bosi zaczynają nowy czasy. Opyretka pujdzi w glanc, nowy kostjumy ino od igły a wolność aż do daj pan pokuj bo bedy krzyczeć. Jednem słowym frajdacja na ff — przyjeć to si przykonasz fkrutcy. Grempczeski fścika si co go szmarują po gazedach ali pal go 6 bo on si nic nie zna na eligancji. Fczoraj to ci mi złapał za sam podbrudyk i pyta czegom taka zamyślona. Muwie mu że nic a on na to: ty si pewni cieszysz rze Cheler przychodzi a ja na to: mnie wszędzie dobrzy bo se potrafię zarobić mojim ardyzmym. Takci stanoł kaminiem otworzył sobie giembe wyciongnuł sztucznygo zemba i na zad wsadził a ja si zarumieniła pod szminką jak pomydorowy sos i to była cała audjencyja. Taki ci z niego kunstmiszcz. Tera jedzi do Warszawy dali pokazować swoje sztuki a zara zanim pojedzi Paflikoski do Paryrza z Kocią gdzie kupują fspulną wilię i bedą razym chodzić do tamtejszych tyjatrów. Ali ni rozumim co oni tam bedą robić kiedy Bursz i Nowacki przyjaciele domu zostają we Lwowi. Cheler już zahangarzował jedną ardyskę mianowici panią Zapolską. Mnie jeszcze nic nie gadał, ali ino raz ukłonił mi si przez pomyłki zczego fnioskóje że mie zahangarzuje — czego i tobie rzycze

tfoja dozgo nu wierna
Jadzia.

Asekuracya.

Ajent asekuracyjny proponuje p. Kohnowi, by się ubezpieczył na życie.

— A zatem panie Kohn, płaci pan 25 koron miesięcznie, a które z was dwojga, pan lub pańska żona, zostanie przy życiu — otrzyma całą sumę...

— Wi pan co — powiada Kohn — niech mi pan da taki taryfy, gdzie żona naprzód umira...

sigma.



Miał zaufanie.

Pan Jajkeles przyjmuje do swego koszernego interesu buchhaltera. Zgłosił się Mojsze Szpikulec. Szef wypytuje go, gdzie był dotychczas i co umie.

— Ny, mój poprzedni szef Rojzenkranz, to un miał do mni takie zaufanie, jak do nikomu innemu. Un wszistko mnie powiedżał, co nikt inny nie wiedżał. Ja panu nawet powiem, tak między nami, co un mi sze zwierzył raz w zaufaniu, co jego sklady i szopy są asekurowane na sto tyszonców guldeny.

— No, to i cóż z tego?

— Ny, co z tego? No, to un muszał miecz do mni zaufani, bo un już dobrze wiedżał, co jemu nikt inny nie podpali, tilko ja!...

A może się i uda.

Pan P., podróżny (rajzender) dla fabryki mydeł, jedzie z Krakowa do Zakopanego nocnym pociągiem. Gdy pociąg ruszył z Krakowa i konduktor wszedł do coupe, w którem pan P. siedział, celem skontrolowania biletu, pan P. podając konduktorowi bilet, daje mu równocześnie i guldena, z warunkiem jednak, aby go konduktor zbudził koło budki 17 między Chabówką a Zakopanem.

Rzeczywiście, w nocy, gdy pociąg miał mijać budkę Nr. 17, budzi konduktor pana P., który zrywa się, otwiera szybko okno i wystawia pewną część ciała przez okno.

— Ależ panie — woła zdumiony konduktor — co panu jest? Czyś pan zwaryował? Co pan wyrabiasz?

— E, głupstwo — odpowiada pan P. — uważasz pan, przed dwoma tygodniami jechałem tą samą drogą i koło tejże samej budki wystawiłem głowę, a kark mi zupełnie zesztywniał. Chcę więc, aby się to samo stało teraz i z tą częścią ciała.

STAŃCZYCY PRZECIW RZĄDOWI!!

Ani ucho to nie pojmie,
Ani język nie wysłowi,
Że stańczycy w opozycyi
Dzisiaj stają wbrew rządowi!

Ci, co zawsze szli za rządem
Jak bezmyślne owce zgrają —
Ci — się dzisiaj zbuntowali,
Ci stańczycy — dziś szemrają!

Rząd reformy chce wyborczej,
Oni przeciw temu walczą —
Oni — co dla rządu byli
Z uczynnością wprost służalczą.

Wy — co lud nasz traktujecie
Z wyniosłością i pogardą,
Dziś przed wolą „c. k. rządu“
Karku wam jest ugiąć twardo?

Dajcie przykład lojalności,
Boście pierwszą w kraju warstwą,
A nie chcecie — na to dam wam
Niezawodne już lekarstwo:

Zróbcie próbę — a zaręczam,
Że skuteczne są to leki —
Gdy będziecie w parlamencie
Wstąpcież sobie do apteki.

Weźcież sobie wazeliny,
Boście głupi, ale nie źli,
No... — i wleźcie tam pokornie,
Gdzieście wciąż dotychczas leźli!...

Bocian.

U profesora muzyki.

Profesor: Dlaczego pan właściwie upierasz się przytem, aby syn pański został wirtuozem?! On nim nigdy nie będzie — niema talentu ani za centa!

Ojciec: E, co też pan mówi. On ma włosy tak długie jak pan.

którym na wypadek mej śmierci zapisałem jedną połowę majątku mojej żonie, drugą tobie.

— Ależ kochany wuju — zawołałem uradowany — co tam mówić teraz o śmierci, kochany wuj świetnie wygląda, a zresztą wuj może będzie miał przecie jeszcze dzieci...

— Mój kochany, tylko nie kpij ze mnie! Żeniąc się, ani o tem nie myślałem i co do tego, to możesz być zupełnie spokojnym!...

Wobec tak kategorycznego zapewnienia, podziękowałem serdecznie wujowi i wróciłem do kochanej wujenki, do której teraz nie miałem już zupełnie żadnego żalu. Była wieczorem jeszcze ładniejszą. Oglądałem ją ze wszystkich stron i faktycznie nie wiedziałem, co więcej u niej podziwiać! Wszystko było wspaniałe, że palce lizać. Bestya stary miał wspaniały gust — nie wiedziałem tylko, gdzie on taki kąsek wyszperał.

Wkrótce potem wuj udał się na spoczynek, a ja z wujenką gawędziliśmy rozkosznie jeszcze z godzinę, zanim pożegnawszy ją, udałem się do przeznaczonego dla mnie pokoju na spoczynek. Położyłem się do łóżka, zasnąć jednak w żaden sposób nie mogłem. Pamiętam jak dzisiaj, była to przecudna noc 22 maja 1903 roku Daty tej nie zapomnę nigdy. Zdenerwowany jednak całodziennemi wrażeniami, ani rusz zasnąć nie mogłem. Spojrzałem właśnie na zegarek, była 12-ta godzina wieczór. Dla nas mieszczuchów jest to wcześnie, na wsi jednak o tym czasie śpią już wszyscy snem kamiennym — zgasiłem więc świecę, postanawiając zasnąć. W tejże jednak chwili posłyszałem poruszenie klamką, drzwi się otworzyły i przy świetle księżyca ujrzałem w prześlicznym szlafroczku moją kochaną wujenkę. Widząc, że nie śpię, zmieszała się ogromnie i stanęła na środku pokoju.

— Przepraszam cię bardzo za prawdopodobne przebudzenie — tłómaczyła się moja wujenka, widząc, że podniosłem głowę — ale mając tak drogiego gościa, chciałam jako dobra gospodyni przekonać się sama, czy nie brak ci czego przypadkiem, gdyż na naszej wiejskiej służbie polegać zbytnio nie można. Wuj zaś śpi już od godziny... Wstałam więc umyślnie, aby się przekonać, czy służba...

— O droga wujeneczko — zawołałem w uniesieniu — doprawdy, że tyle dobroci z twej strony...

— Naturalnie — zawołała nagle moja wujenka — naturalnie! Ta przebrzydła służba! No i czy nie miałam racyi? Nie dano ci wody kolońskiej do mycia! Ale ja w tej chwili przyniosę.

Moja śliczna wujencia zniknęła znowu i za chwilę wróciła, niosąc w rączce ten oto tu flakon z wodą kolońską, który postawiła na umywalni..

* * *

W trzy miesiące potem umarł mój drogi wuj. Naturalnie, że jako spadkobierca połowy jego majątku, oddałem mu ostatnią przysługę i byłem na pogrzebie. Wujenka była jeszcze piękniejszą w żałobnej sukni i jeszcze serdeczniejszą dla mnie.

W ośm dni po pogrzebie, otrzymałem od ojca list, w którym zawiadamiał mnie, że był przy otwarciu testamentu wuja i że zupełnie taksamo jak mi to wuj za życia oświadczył, majątek swój rozdzielił na dwie równe części, z których jedną zapisał żonie swojej, a mej wujence, drugą zaś, z braku potomka własnego, przeznaczył dla mnie.

Stosownie więc do polecenia ojca, wyjechałem natychmiast do Koszyc, do notaryusza mego zmarłego wuja, celem porozumienia się w sprawie objęcia spadku. Któż opisze jednak moje zdumienie i przerażenie, gdy notaryusz oświadczył mi, że zapis na moją korzyść, uczyniony przez wuja w testamencie z powodu braku własnego potomka, stracił obecnie swą moc, a to z tej prostej przyczyny, że wujenka moja znajduje się w takim stanie, który każe się właśnie potomka spodziewać.

Zgłupiałem!

— Tak, tak, nie ma się znowu czego tak bardzo dziwić — powiada do mnie staruszek notaryusz, kiwając głową. — Ja już kilkakrotnie mój panie miałem podobne wypadki i doszedłem do przekonania, że jeżeli bardzo starzy mężczyźni poślubiają bardzo młode i przystojne kobiety, to małżeństwa takie nie są nigdy bezdzietnemi!...

— Ależ ty tam byłeś przecież przez dni kilka — odzywa się obecny przy tem mój ojciec — nie przypominasz sobie może, czy nie zauważyłeś tam przypadkiem coś takiego podejrzanego? Nie masz może kogoś w podejrzeniu?

— Zapewniam ojca stanowczo, że nikogo nie mam w podejrzeniu.

Dnia 22-go lutego 1904 roku, urodziła moja wujenka zdrowego i wspaniałego syna. Nowy dziedzic otrzymał cały majątek mojego wuja, jako spadek po swoim ojcu, t. j. majątek wartości przeszło dwieście tysięcy guldenów.

Wyrok Salomona.

Pan Damazy był zupełnie szczęśliwy. Niespełna rok cały upłynął mu w jarzmie małżeńskiem. Nie było ono tak ciężkie, jak się to inni na to uskarżali, owszem, rodzinne swe gniazdo przedkładał zawsze nad knajpę, choć i tę cenił bardzo wysoko. Zwolna jednak zaczął się wkradać w duszę jego najukochańszej żoneczki jakiś niepokój, z dniem każdym zdenerwowanie stawało się większe, a w jakiś czas później choroba dziwny przybrała obrót. Oto jego najmilsza połowica budziła się najniespodziewaniej w nocy, zapalała świecę i z ogromnem przerażeniem zaglądała pod swoje łóżko. Skoro chorobliwe oznaki nie znikały, zmuszony był pan Damazy w troskliwości o życie swej żony zawezwać pomocy lekarskiej. Wybór padł na sędziwego staruszka doktora X.

— Wie pan doktór — tłómaczy mu pan Damazy — co mnie najwięcej zastanawia, to to właśnie, że ona w nocy zawsze pod łóżko zagląda. Trzeba temu w jakikolwiek sposób zaradzić.

— To tylko — powiada zdziwiony konsyliarz — po prostu odpiłować nogi od łóżka!

Co może roztargnienie.

O znanym w mieście naszem profesorze X. opowiadają wiele ciekawych anegdotek; jedna z takich, która kursowała niedawno możemy się podzielić z naszymi Czytelnikami.

Do profesora X. zgłasza się przed paru dniami jakiś młody lekarz, chcąc zasięgnąć jego rady w kwestyi bardzo poważnej. W trakcie rozmowy zaczyna się staruszek ożywiać, wreszcie wypytuje się go o miejsce urodzenia, stosunki familijne i t. d.

— Więc pan ze Sokala? — Prawda?!

— Tak, ale do szkoły chodziłem we Lwowie.

— No, to pan miał ładny kawałek do szkoły — odpowiada z powagą profesor, zajęty swemi myślami.

W kantorze.

Szef (przeglądając list, który właśnie buchalter na maszynie ukończył): Mój panie! od pierwszego jesteś pan wolny! To niesłychane rzeczy! Pan nie znasz najprostszych zasad ortografii!

Buchalter: Cóż ja na to poradzę, skoro maszyna starego systemu?!

Głęboko wzruszony — współczując szczerze z mym przyjacielem, uścisnąłem serdecznie jego rękę i zaczeliśmy mówić o zupełnie czemś innem.

* * *

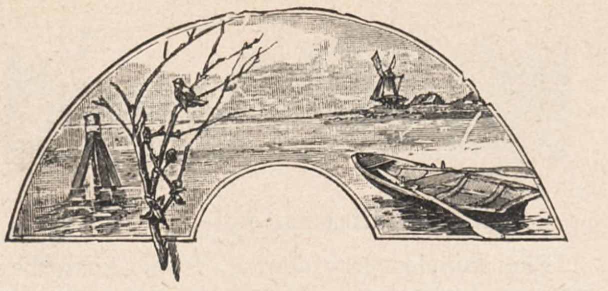
W kilka tygodni później, przypadek czysty tylko, zapędził mnie właśnie w stronę, gdzie leżał majątek nieboszczyka, wuja mego przyjaciela. Interesa tak się złożyły, że wypadło złożyć mi wizytę wujence mego przyjaciela. Młoda wdówka przyjęła mnie bardzo uprzejmie, przy czem z dumą pokazała mi, co prawda nadzwyczaj ładnego, dwuletniego chłopca.

— No, a jakże na imię młodemu następcy — spytałem uszczęśliwionej młodej matki...

— *„Jan Marya“* — brzmiała odpowiedź.

Zapewne na pamiątkę, że ktoś w rodzinie łaskawej pani nosił to imię? — spytałem ciekawie.

— Właściwie nie, ale wie pan, ja mam szczególny szacunek dla firmy *Jan Marya Farina*, wynalazcy wody kolońskiej! Nie ma pan poprostu pojęcia, i to, co prawda, będzie się panu może wydawać śmiesznem, ale ja go — choć on już podobno przed więcej, jak 50-ciu laty umarł — poprostu kocham!



KRÓTKO A WĘZŁOWATO.

Służyła raz u państwa
Pokojóweczka młoda,
Spotkała się z uznaniem
U pana — jej uroda.

Przebyła czas tam jakiś
Lecz jak to zwyczaj sługi
Zabrawszy swe manatki
Do służby poszła drugiej.

Lecz widać, że sług wdzięczność
Jest jeszcze na tym świecie —
Raz odwiedziła pana
Wieczorem w gabinecie.

O powodzenie pyta
O pana i o panią —
Pan niedowierzająco
Popatrzył tylko na nią.

I rzekł z westchnieniem przykrem
(Snać ciężkie miał katusze)
„Czy małe żyje jeszcze,
I ile płacić muszę?!...

Chat-Noir.

Bardzo słusznie!

Matka (do męża): Wiesz Władziu, że na tego naszego jedynaka jestem nieraz porządnie zagniewana, nigdy go niema, gdy wołam na niego!

Mąż: E! daj lepiej pokój! Taż on zdradza zdolności na policyanta!

STRASZNY MŁYN
(ballada ludowa).

Znam młyn pewien, który straszy,
Jak to mówią ludzie na wsi,
Kędy w noc nie zaglądają
Nawet najciekawsi.

A w tym młynie jest młynarka,
Która w okolicy,
Pozyskała ze słusznością
Sławę czarownicy.

Czarownica ma przy młynie
Izbę, a w niej łóżko,
A zaklęte różne zioła
Trzyma pod poduszką.

Gdy wytrzęsie zaś na łóżko
Czary swoje z płachty,
Wtedy wzywa pomocnika
Na czarcie konszachty.

I czaruje czarownica
I młynarczyk młody,
Młyn się rusza, stęka, wzdycha,
Gdy dość w rzece wody.

Z dawien dawna młyn ten stary
Jest postrachem na wsi —
I nie zajrzą tam w noc nigdy
Ludzie najciekawsi.

Bo choć koło młyńskie stanie,
Gdy przyjdzie posusza —
To coś w łóżku czarownicy
Stęka — coś się rusza...

Chat-Noir.

Ostrzeżenie.

Do jednego z prowincyonalnych miasteczek zajechał niedawno handlarz tresowanych psów. Z pomiędzy całej sfory największe wrażenie na panu Jakóbie, właścicielu szynku pod „Słowikiem“, zrobił młody jeszcze szczeniak, który według zapewnień handlarza, należał do najpojętniejszych z jego gromady. Nie targował się też długo pan Jakób i po wyliczeniu umówionej kwoty, zabrał szczeniaka do domu. Wkrótce jednak pokazało się, że pies ten należał do najzwyklejszych kundlów, nie zdolnych nawet do stróżowania domu — a obdarzony był przytem takim apetytem, że go nakarmić było niepodobna. Wściekły, że tak łatwo wpadł w zastawione sidła, biegnie do znajomego mu dobrze handlarza, który porobiwszy na psach dobre interesy, zamyślał się właśnie ulotnić.

— Mam cię łajdaku jeden — powiada zirytowany zaraz na samym wstępie — sprzedałeś mi łotrze zamiast tresowanego psa, najzwyklejszego kundla!

— Tak — odpowiada handlarz ze spokojem stoika — trzeba było patrzeć na moją tablicę przy wejściu: „Przed psami ostrzega się Szan. Publiczność“.

Pewny skutek.

— Jaki jest najpewniejszy sposób dla graczy loteryi liczbowej, aby wyszło *terno?*

— Napisać na opłatku trzy cyfry i połknąć. Na drugi dzień wyjdzie *terno!*

Na wszystko jest rada.

Na pogrzeb znanego arystokraty Y. zjechało się do małego miasteczka, którego był właścicielem, taka masa gości, że ani pałac, ani zabudowania dworskie nie były w stanie tych przyjezdnych pomieścić. Jak zwykle w galicyjskiej dziurze, hotelu nie było. Było zatem kilka karczem, w których też goście się pomieścili.

W dzień przed samym pogrzebem, pod sam wieczór, przyjechał też i pan X., właściciel dóbr z Podola rosyjskiego, wraz z małżonką. Długo chodzili po przeróżnych chałupach, zanim znaleźli jakąś skromniutką izdebkę w jednej z odleglejszych karczem. Państwo X., ludzie starsi, po zjedzeniu kolacyi, zmęczeni drogą, postanowili zaraz się położyć spać, aby nieco wypocząć, tem więcej, że na drugi dzień musieli zaraz wyjeżdżać.

Już miał pan X. zamykać oddaną sobie izbę, gdy w tem spostrzega brak naczynia, które w nocy bywa koniecznem. Woła więc żyda.

— Ny, co jasne pan sobie życzy?

— Pan X. wytłómaczył żydowi, ten wybiegł i za chwilę wraca, niosąc flaszkę.

— Zwaryowałeś żydzie — woła oburzony X.

— Aj, waj — cego jasne pan zaraz sze tak rzuci — przerywa mu karczmarz — ja i o jasne pani dobrodżyjkie pamiętałem. — Mówiąc to wyjmuje z pod hałata lijek i stawia go obok flaszki przy łóżku.

W szkole.

Na nauce religii, wykłada katecheta uczniom w I. klasie normalnej o Bogu. Między innymi mówi, że Pan Bóg jest wszędzie, nawet w najmniejszej skrytce.

Wtem z ostatniej ławki wystawia palce do góry najgorszy osioł Wojtuś.

— Czego ty tam znowu? — pyta katecheta.

— A prose ksiendza katechety, a cy w piwnicy mojego taty jest tyz Pan Bóg?

— Naturalnie, że jest i w piwnicy twojego taty Pan Bóg — odpowiada katecheta uradowany, że Wojtek przecie się czemś interesuje.

— A bo to prowda — woła Wojtuś — a kiej mój tatuś nimo żadnej piwnicy!...

„PER ASPERA!“

Gdym raz pierwszy skradł całusa
U najmłodszej domu córki,
Wnet uczułem na mej twarzy
Jej paluszki i pazurki.

Gdym raz pierwszy ją uścisnął
Rozpaliwszy się niezwykle,
Podrapałem sobie ręce
O sznurówki twarde brykle.

A gdym się — zniecierpliwiony
Na przeróżne brał sposoby —
„Bierny opór“ mi stawiały
Różne części garderoby.

Jakby wszystkie się złączyły
W solidarne jakieś związki
I tasiemki przy spódniczce
I pończoszki i podwiązki.

Lecz ilekroć znowu jestem
W tej niewinnej zresztą walce,
Błogosławię uzbrojone
Pazurkami — zwinne palce.

Ja — odważny człowiek lubię
Cel osiągać „per aspera“
Wiwat brykle i pończoszki
I podwiązki — et cetera!

Chat-Noir.

Jeszcze gorzej.

Żona (do krawcowej): Mój mąż taki nie dobry dla mnie. Nim dostałem tę suknię, musiałam się przedtem dobrze napłakać.

Krawcowa: Niech się pani pocieszy! U X. to ja się razem z panią musiałam rozpłakać!...

Przerwa w historyi.

Książątko (do siebie): Położę się trochę — tak na pół godzinki, niech raz nastąpi pauza w historyi świata.

MĄDRA KASIA
(z motywów ludowych).

— „Słuchaj Kasiu! — tak pan mówił —
Tyś dobra dziewczyna,
Lecz na miłość Boską! strzeż się,
Strzeż mojego syna!

On — na cnotę biednych dziewcząt
Od dawna nastawał,
Gotów cię unieszczęśliwić,
Bo to draba kawał!“ —

— „Słuchaj Kasiu! — mówił panicz —
Pełen niepokoju,
Nie wchodź nigdy, kiedy ojciec,
Sam w swoim pokoju!

Zdaje się, że nikt za niego
Nie dałby dwa centy,
Lecz ty nie wiesz, jak na ciebie,
Jest ten pryk zawzięty!“

Kasia wdzięcznie wysłuchała
Rad i przestróg obu,
Obaj — zbliżyć się do dziewki
Nie mieli sposobu.

I w postanowieniu takiem
Trwała do ostatka,
Ni do ojca, ni do syna:
Chodziła — do dziadka!...

Remember.

Zagalopował się.
(Autentyczne).

Właśnie ukończyło się kazanie i fala głów ludzkich runęła ku wyjściu, gdy wtem nadworny kaznodzieja skinął ręką na znak, że jeszcze słów parę chciałby tylko powiedzieć. Bo jakżeż nie uczcić tu pamięci zmarłego Tomasza Ciołka, szewca z profesyi, a silnego i dojnego katolika z przekonania! Jakżesz nie polecić go modlitwie wiernych.

Tłum stanął w miejscu, a w rozdziawione szeroko gęby padać zaczął grad potoczystych i budujących słów kaznodziei.

— Tak moi kochani — powiada kaznodzieja zmierzając ku końcowi. — Żywot i czyny zmarłego znamy wszyscy aż nazbyt dobrze, to też grzech śmiertelny popełni, kto się ośmieli zwątpić, że Ciołek nie siedzi teraz wygodnie u podnóżek Pańskich i z aniołami gra ku chwale Najwyższego na o r g a n a c h!

Przemówienie kaznodziei zrobiło należyte wrażenie, bo oto jeden z wiernych, widocznie dobry znajomy zmarłego, oburza się na to:

— Tfu — powiada — d y ć o n n a w e t n a h a r m o n i c e n i e d a ł r a d y!!

Znalazł sposób.

Na gruncie właściciela wsi pana Władysława R. grasowała od dłuższego czasu banda kłusowników. Pan R. kilkakrotnie urządzał obławę, zawsze jednak bezskutecznie. Doprowadzało go to do prawdziwej rozpaczy, gdyż kłusownicy, podniecani niebywałem powodzeniem, niszczyli zwierzynę w straszny sposób. Pewnego razu posłyszał pan Władysław jakieś oddalone strzały. Z nieustającym w poszukiwaniach leśniczym pospieszył w tę stronę, nie mógł jednak przytrzymać rabusiów, gdyż porzuciwszy zrabowaną zwierzynę, czemprędzej uciekli. Spodziewając się, że pan R. przyprowadzony do rozpaczy nowem niepowodzeniem, może strzelić, zapomnieli w obawie o własne życie, o swoich dubeltówkach. Te pozwoliły też odnaleźć rabusiów. Leśniczy rozpoznał dubeltówki trzech wiejskich gospodarzy i epilog tej sprawy rozegrał się przed sądem. Tutaj jednak wypierał się z nich każdy, jak tylko mógł, i wolał stracić dubeltówkę, niż ponieść zasłużoną karę. Lecz sędzia nie dał za wygraną.

— T a k w i ę c — powiada wreszcie, skoro nie mógł wydobyć z nich przyznania się do winy — w i e m t e r a z, ż e t o n i e w y k ł u s o w a l i ś c i e. W y ś c i e p o r z ą d n i g o s p o d a r z e! N i e c h ż e w i ę c k a ż d y w e ź m i e s w ą d u b e l t ó w k ę i p ó j d z i e s p o k o j n i e d o d o m u!

To odniosło pożądany skutek — bo oto nasi gospodarze nie spodziewając się podstępu, spokojnie wysunęli się na środek, aby zabrać każdy swoją dubeltówkę.



STAWIANIE NA NOGI.
(Bajeczka dla pełnoletnich dzieci).

Antosię aktoreczkę
Los prześladował srogi,
Choć ładną miała buzię
I sympatyczne nogi.

Taż kiedy dostatecznie
Utyła i urosła,
Na nogi swoje brała
Ach! nie jednego osła!

Ponieważ jednak honor
Był skarbem tej facetki,
Wstąpiła zrazu tylko
Tak, jest! do — operetki!

Fikając rozmyślała,
Dlaczego to wogóle
Wymyślił świat podwiązki,
Pończochy i koszule!

Raz — widząc jak fachowo
Podrygi swe wyrabia,
Zakochał się w niej pewien
Z foteli stary hrabia.

I chociaż od miłości
Nie wielkie miał wymogi,
W i m i e n i u t e j m i ł o ś c i
„Postawił ją na nogi“.

Nie wiedzieć już po jakich
Krążyła miłość drogach,
Postawił ją — lecz za to
Podupadł sam na nogach.

Wnet skończył z Antosieczką
I z całym światem sprawę:
Bo złożył w trumnie głowę
I nogi swe koślawe.

Raz jest Antosia w łóżku
(A jeszcze wcześnie zrana) —
Ktoś puka — ona krzyczy:
„*Halt*! jestem nieubrana!“

Choć nie jest w dobrym tonie
Poranna ta wizyta,
O takie formalności
Komornik się nie pyta.

Przeszukał skrupulatnie
Pod kołdrą i poduszką,
Nie wiele znalazł — zatem
Opieczętował łóżko.

Antosię z betów zrzucił
Ten ustaw sługa srogi —
I tak w *imieniu prawa*
Postawił ją na nogi.

Chat-Noir.

Nie udało się.

Pan Anastazy lubiał się ubierać według pierwszej mody, a że skromne jego dochody, jako sekretarza sądowego nie wystarczały na zapłacenie szewca, alimentów, praczki i całego szeregu kundmanów, żył więc z naciągania ludzi łatwowiernych.

Pewnego razu zjawia się w jego mieszkaniu krawiec, który od paru miesięcy na darmo czekał zapłaty.

— Ależ mój panie kochany — uspakaja go pan Anastazy — jeszcze chwil parę cierpliwości, a otrzyma pan wszystko co do centa. Wie pan, że zaręczyłem się z córką bankiera Korngolda?

— To przecież oburzające — przerywa mu krawiec — już trzeci mi to samo dzisiaj powiada!



— No, od jutra zaczniemy już na seryo malować na płótnie!

— No, a dziś?

— Dziś, moja droga, spróbuję jeszcze raz na batyście!



— Słuchaj Mila! Kupiłem sobie rower! Lubisz ty jeździć na rowerze?

— E, przyznam ci się, że wolę w łóżku...



Pan kapitan ma żoneczkę,
Co się wciąż na niego chmurzy,
Że ją męczy całowaniem
Zwłaszcza, że jest taki — duży!

Zawsze jakiś taki sztywny
Jakby jaki kij poprostu,
A ustami ust nie trafi,
Co jest winą jego wzrostu!

Wy myślicie, że to może
Jest swawolna pornografia?
O! nie! wierzcie! lub — nie wierzcie
To się w życiu także trafia!



Rozmyślała szansonistka
Nad tą kwestyą przez dzień cały,
Co robiłyby dziewczęta,
Jeśliby tak nóg nie miały?

Nogi zawsze są potrzebne
W domu jak i na estradzie,
Czy się na nie trykot wkłada,
Czy się na nie nic nie kładzie!

Nogi mają dla kobiety
Swe zalety i pożytki —
Czego ręce nie zarobbią,
Zapracują zawsze łydki!

Bo mężczyzna, zwłaszcza młody,
Jest naiwny jak to dziecko —
Duszę odda, gdy gdzie ujrzy
Zgrabną nóżkę, popod kiecką!



— Ja widzę, mój Olku, że ty mnie już więcej nie kochasz?

— Ależ zdaje ci się, moja duszko — kocham cię jak dawniej!

— E, to już nie to, co dawniej!



— Widzi pani zatem, że i ja się czasem na coś przydam?

— Tak — garderobianę zastąpić, ale nic więcej!...



Atakować górne tony,
To jej pasya i brawura,
Bo też zdaniem melomanów,
Lepszy u niej *„dół“* niż *„góra!“*

Fika nóżka — niczem jaka
Zawodowa linoskoczka,
A sukienkę w górę wznosi,
Chociaż na dół spuszcza oczka!

Ja z innego punktu patrzę,
Nie udaję melomana —
Chwalę u niej *„dół“* czy *„górę,“*
Biust — czy łydki i kolana!...



— Ale pan to właściwie nie powinienby się nigdy żenić...

— A to dlaczego?

— A bo przy wkładaniu głupiego palta, sapie pan już jak miech kowalski!

Siostrzenica Księdza Proboszcza.

Kartka z współczesnych kronik galicyjskiej kiernozyi

napisał Chat-Noire.

6 Ciąg dalszy.

Materyał obrad był nader bogaty
I ożywione niezwykle debaty...
Jeden — poszedłszy po rozum do głowy
Chce zburzyć ratusz, a postawić nowy.
Zdaniem innego znów rada jedyna
Zdemolowanie Agnieszki „Kasyna“,
Gdyż według mowcy w tym szpetnym budynku
Nic się nie mieści krom wstrętnego szynku,
Nic nie „*odchodzi*“, tylko — pijatyka...
Pan Pisarz ryknął: „Taak?!... a Weronika?
Niech świadczą starzy, niech potwierdzą młodzi,
Czy ta dziewica także nie odchodzi?
A mając w sobie temperament, życie,
Na ruch miejscowy wpływa znakomicie!
Dowodem tego jest pewien wieszcz młody,
Który na cześć jej już trzy spłodził ody!
Nie licząc ile wchłonął w siebie piwa,
A z czego zaszczyt i na miasto spływa,
Zwłaszcza, że wieszcza ojczyzną jest Kraków!...
A jak dla ptaka trza do śpiewu krzaków,
Albo przynajmniej porządnego drzewa,
Tak jemu knajpy!... Niech pije i śpiewa!
Niechaj nie mówią źle usposobieni,
Że miasto nasze poezyi nie ceni,
Lub, że z umysłu jest u nas niszczona
Natchnionych wieszczów przytułek i schrona —
Pisarz więc wniosku nie poprze u urny,
Bo wnioskodawca jest po prostu — durny,
A gdy zasłużył — to chyba... na kije!
Więc niech wieszcz dalej i pisze i pije!
Niechaj mu stoi — szynk, gdzie Muza mieszka!
Niech żyje Chrzanów, niech żyje Agnieszka!
I jej córeczka — ten anioł słodyczy!...
Vivat!... A co się Pisarza dotyczy,
Przysięga wszystkim (słuszność jego znana),
Że się z Weronką upije tam zrana!...“
Przy każdem słowie Pisarza: „Weronka“
Proboszcz nos głaszcze, kręci się i krząka,
Aż głową skinął mowcy dla zachęty
I krzyknął: „Wniosek *en block* jest przyjęty!“
A po pisarza ognistej przemowie
Poszli na ustęp niektórzy rajcowie,
(Ci, co dość pili tej nocy w Chrzanowie,
A mianowicie u Agnieszki w szynku) —
Z innych projektów zaś — godzień wspominku
Jest wniosek radcy: starego Pierdoły,
Który jest w mieście dyrektorem szkoły.
Lecz zanim Radca wniosek swój wysteka,
O jego rodzie wpierw wzmianka maleńka.
Owoż — jak każde dziecko wam opowie,
Pierdołów bardzo wielu jest w Chrzanowie.
Wspomnę *pro* „*rei memoria aeterna*“,
Że wszystkich wiedza cechuje niezmierna,
Wytrwałość zasad, wytrwałość poglądu...
Otóż „*Gross-Chrzanów*“ według mowcy sądu
Winien jak ojciec troskliwy rodziny
Przygarniać wszystkie okoliczne gminy,
I jak w ramiona ująć w swe rogatki:
Zarówno Libiąż, jak Biskupie Gatki,
I Worki Wielkie jak i Ochędóżnę
I okoliczne inne gminy różne...
— „Lecz mało tego!... — tak radca Pierdoła
Z iskrzącem okiem w swej konkluzyi woła: —
Żądam w imieniu własnem i rodaków,
By do Chrzanowa włączyć również Kraków!
Wtedy dopiero — według takich planów
Chrzanów się zmieni w prawdziwy „*Gross-*
[*Chrzanów!*“

„*Unanitate*“ wniosek ten się przyjął.
Był za nim nawet Ksiądz Kanonik Fijoł.
Lecz jedna ważna trudność się wyłania.
Ksiądz nie narzuca mowcy swego zdania,
Lecz jak poucza badań wynik świeży
Kraków — *na razie* — za daleko leży.
Czekajmyż!... zanim Chrzanów się rozwinie,
A obejmując wciąż gminę po gminie
W swojem ojcowsko kochającem łonie
Łaskawie wkońcu i Kraków pochłonie!
Poczem ksiądz nos swój napchawszy tabaką
Podaje radcom rezolucyę taką:
„Niechaj sławetny nasz gród i wsławiony
Na wszystkie świata rozszerza się strony,
Rajcy — byleby nie dołożyć kiesą,
Przeciwni temu absolutnie nie są,
Sprawa ta jest im obojętną zgoła..“
Tu wstał na ławkę pan radca Pierdoła
Krzycząc: „Niech Chrzanów wzmaga się i rośnie!“
„Vivat“ — krzyknęli wszyscy jednogłośnie.
Bo każdy z owych dzielnych patryotów
W tej chwili wszystko uchwalić był gotów,
Z uwagi bowiem na późną godzinę
Niejeden radby już wleźć pod pierzynę,
Wrócić do domu, żony, et cetera...
Lecz na nieszczęście znów Ksiądz głos zabiera,
I znów zażywszy spory niuch tabaki,
Do zgromadzonych przemówił w sens taki:
„Dziś, gdy tok obrad wyczerpany prawie,
Ja panom sprawę ważniejszą przedstawię,
Najcięższą moją troskę i frasunek!...
Woźny! podajcie mi zaraz pakunek!...
Żądany przedmiot zjawił się...
Tymczasem
Ksiądz Fijoł ciągnął sympatycznym basem,
W którym drga nuta żalu i rozpaczy:
— „Wszystko w Chrzanowie krzywi się i paczy
Ach! wiedzą o tem nieszczęsne małżonki!
Krzywią się w błędach społeczeństwa członki,
Co zamiast być mu ozdobą i chlubą
Są dlań zgorszeniem, zakałą i zgubą!...
A w jaki sposób, wnet panów objaśnię,
Bo dowód na to mam przed sobą właśnie!...
W domu małżonków, lub sypialni raczej
I to i owo nieraz się zobaczy,
Co do ubrania obojga dusz służy — —
Lecz czyż podobna mi zamilczeć dłużej?!...
(Tu Ksiądz ze szczerem oburzeniem krząka)
Ot! co znalazła u męża małżonka!...
Sprośny to przedmiot, a dobrze był skryty,
Pod łóżkiem tego zdrajcy, sodomity!...
To jest już brzydko, a nawet nieładnie!...
Co w tym papierze? Niech kto z panów zgadnie!
Ja bank potrzymam! Może mała pulka?!“
— „Dwie szóstki stawiam, że to jest koszulka!“
Krzyknął ktoś z boku podchmielony trochy,
Inny: „Koronę daję na pończochy!“
Ktoś licytuje: „Korona trzydzieści!“
— „Nie! nikt nie odgadł, co pakunek mieści!
Rzekł Ksiądz. — „Kto jeszcze postawi, i na co?
Panowie — proszę — niechaj zaraz płacą!...“

Gra spodobała się rajcom niektórym
— „Zgoda!“ — krzyknęło kilka głosów chórem
— „Ja protestuję!“ — krzyknął Pisarz z ławki
Albo, co najmniej wymagam poprawki!
Grać tak na ślepo, to na dyabła praca!
Niech chociaż każdy ten przedmiot pomaca!“
A na ten wniosek, jak na dane hasło:
„Macać!... pomacać!...“ — zgromadzenie wrzasło.
Ksiądz się przychylił chętnie do tej próby,
Papier był bowiem podwójny i gruby,
Szpagatem nadto obwiązany świetnie,
A sznurka przecież nikt w oczach nie przetnie!...
Poszli więc radcy do prezydyum zgrają,
Ale nadarmo patrzą i macają,
I spływa w kieszeń proboszcza gotówka.
A wtem z galeryi krzyknął ktoś: „Sznurówka!“
I nagle rajców ogarnia panika,
Nie wyłączając Księdza Kanonika
„Skąd wziął się intruz i kto to być może
Tam na galeryi o tak późnej porze,
Co to za zbrodniarz, co wpadł tam ukradkiem,
By nocnych obrad być natrętnym świadkiem?!“
Tymczasem z góry grzmiał dalej głos dziki:
To jest sznurówka panny Weroniki,
Tejsamej, której matka ma Kasyno!
Ja osobiście znam się z tą dziewczyną!“
A potem z góry dał ktoś na dół susa,
I do prezydyum rżnie tęgiego kłusa,
I księdzu szybko wyrwie pakiet z ręki
I drzwi rozwala silnym pięściom dzięki
I z sali obrad wypada do sieni...
Wybiegli za nim radcy potrwożeni
Chcą go dogonić... Daremna fatyga!
Niech się z zającem stado żółwi ściga!...
Z tych, co gonili złodzieja-intruza
Jeden nos rozbił, inny nabił guza,
Inny znów odniósł kalectwo ogromne:
Jakie?... Darujcie, ale go nie wspomnę!
Dosyć, że leżał przez tydzień w szpitalu,
Małżonka jego umarła zaś z żalu...
„Intruz“ znikł w nocy razem z swoim łupem,
A szkoda!... Chcieli położyć go trupem!...
Część rajców trzeźwi Księdza Kanonika...
Przytomność widać u staruszka znika,
Bo tylko słabym jeszcze głosem szepta:
„Ziebad miętowy — w kieszeni recepta!“
Trudno! choć cierpiał Ksiądz w torsyach napadu,
Lecz w Magistracie nie było ziebadu!.
Więc go do domu taszczą jednokonką —
On wciąż majaczy: „Sznurówko! Weronko!
Snać jakiś dramat w sercu się rozgrywa,
Lecz nie wie o nim żadna dusza żywa!
Aż kiedy w domu posadzono Księdza
W ziebad miętowy, co humory spędza
I we właściwe ściąga środowisko,
Przyszedł do siebie poczciwy księżysko!
Przyszedł do siebie — a umarłby pono,
Gdyby śmierć inną nie miał przeznaczoną!...

VIII.

I znów Kasyno do życia się budzi,
Słońce na nogach zastało już ludzi,
Choć mówiąc ściśle — w tej dnia pięknej chwili
Nie wszyscy *na swych własnych* nogach byli,
Nie wszyscy wstali z pierwszym blaskiem słonka
Mówię: nie wszyscy...
Naprzykład Weronka!
Złożywszy czarną główkę na poduszki,
Prosto przed siebie wyciągnęła nóżki,
Pod główką splotła na krzyż obie rączki,
Widać pierś: jak dwa białej róży pączki...
Tak śpi — do śpiących podobna królewien,
Ja zaś — co do mnie — ja mam domysł pewien:
Pierś jej faluje — widać po kołderce,
Gdy pierś faluje — nie próżnuje serce!
Może o lubym śni to piękne dziecię?
Może ją we śnie jaka zmora gniecie,
A może, może — — Zresztą mniejsza o to!
Niech ją tam nawet wszyscy dyabli gniotą!...
Nagle się rozległ głos niemiły uchu:
„Piąta godzina! Wstawaj-że leniuchu!
Gości *co ino nie uświadczy* w szynku!

Jakby złapana na brzydkim uczynku,
Mając na licach snu jeszcze ślad świeży
Za gromkim głosem pół-ubrana bieży...
W lekkim negliżu było piękne dziecko:
Pełne ramiona i pierś iście grecką
Ledwie osłania perkalowa bluzka,
A wietrzyk ranny nagie łydki muska.
Dziarskie jej nóżki biegły bez żenady,
Znacząc na piasku drobne swoje ślady.
A wtem stanęła i krzyknęła wróżka...
Czy się o kamyk pośliznęła nóżka?
Albo ją ugryzł jaki robak brzydki?
Albo dostała nagle kurczu łydki?
Albo — broń Boże! — doznała zwichnięcia?!...
Jakiż był powód przestrachu dziewczęcia?
Oto ujrzała młodzieńca w pobliżu,
A więc krzyknęła, bo była w negliżu.
Lecz nie dlatego, że to był ktoś obcy,
Tak ją widzieli już X-razy chłopcy,
Których nie znała, a nawet na żarty,
Nie chciała od nich wizytowej karty!
A jest tych „obcych“ paczka dosyć duża,
Tych, co jej nogi znają nie z podwórza,
Lecz — owszem! owszem! — z własnego mie-
[szkania,
A którym ona tego nie zabrania,
Bo przecież serce — sercem, a nie stalą!...
Wszyscy jej łydki jednomyślnie chwalą!
Dlatego strach zaś zdradzają oczęta,
Że jej spódniczka jest brudna i zmięta,
Przez co i nóżki źle wydać się mogą...
Więc przystanęła i spytała srogo:
— „Panie Rozporek! co pana sprowadza?“ —
— „Mój obowiązek i miłości władza! —
Rzekł wzrok ciekawy zatrzymawszy na niej: —
Słowo się rzekło!... Tu — sznurówka pani!“
I czułym wzrokiem spojrzał w oczka czarne,
Lecz czulszym na jej łydki muskularne...

C. d. n.

Zawsze reporter.

A. Słyszałeś, że reporter X. dostał tej nocy trojaczki?

B. Nic dziwnego, proszę ciebie, ten człowiek zawsze robi w senzacyach. *sigma.*

Co ja winien?

Do firmy Braci Iscovitsch we Lwowie przychodzi Samuel Knall z wyrzutami.

Panie Fluss, cy to ubrani, chtury ja tu kupił przed dwoma tygodniami kosztuje naprawdy 40 korony.

Szef firmy: Nu, moży pan mi sam nie ofiarował 40 korony i co pan jeszcze chce?

Knall: Ale mój szwagier zapłacił panu za to samo ubrani 30 koron?

Szef firmy: Nu, to co ja winien, co pan sam tak dużo ofiarował? *sigma.*

Zazdrość.

U Dra Breitera leczy się pani Sara Feingeruch.

— Pan konsiliarz ni uwierzy, jak mój mąż jest bardzo zazdrosny.

Dr. B.: A czy ma on słuszny powód?

Pani Sara: Niestety — nie! *sigma.*

W podróży poślubnej.

Ona: Wiesz Stasiu, taka podróż poślubna byłaby jeszcze piękniejszą, gdyby każde z małżonków pojechało w inną stronę — potem mieliby sobie dużo, dużo do opowiadania. *sigma.*

W roztargnieniu.

Żona: Mężu drogi, nasza nowa kucharka spaliła pieczeń, ale powiedziała, że jednym ciepłym całusem dasz się przeprosić...

Mąż: Dobrze, przyślij ją tu... *sigma.*

Wywołał wilka z lasu.

W kawiarni „Edison“ we Lwowie siedzą przy sztamtiszu między innymi pan Teitelstock, do małpy podobny, i pan Finkelberg, jąkała, ajent handlowy. Teitelstock chce obrazić Finkelberga, aby rozśmieszyć towarzystwo.

— Ty Finkelberg — powiada T. — ty podobnoś jezdeś cały na ciele obrośnięty z włosami...

— To... to... — odpowiada Finkelberg — jest pr...ra...prawda, ale tobie to mo...mogła opowie...wiedzieć t...t...tylko t...twoja żo...ona... *sigma.*

Po teatrze.

Po teatrze odprowadza p. Flircikiewicz młodą wdówkę, panią P., do domu. Godzina 11 wieczór, więc pachołkowie miejscy gaszą latarnie gazowe.

— Ach, łaskawa pani — wzdycha pan Flircikiewicz, czy mogę panią prosić o coś...

— No?

— O posadę...

— Mnie? O jaką?

— O posadę takiego pachołka, ale w buduarze pani... *sigma.*

Domyślny.

Obcy pan przyjeżdża do Wiednia i spotyka nieznajomego żyda.

— Panie Kohn — zagaduje go — gdzie tu kościół św. Szczepana?

— Masz tobi interes, zkąd pan wi, co ja si nazywam Kohn?...

— Ja się tylko domyśliłem...

— Jak pan si tak dobrze umi domiślić, to niech si pan także domiśli, gdzie jest kościół św. Szczepana... *sigma.*

Konfidencya.

Pani bankierowa X. (do służącego): Janie, jakże tam dziś na dworzy, pogoda cy dyszcz?

Jan: Dostaniemy deszcz proszę pani.

Pani X.: Co to znaczy dostaniemy? Co to za durny gadani? Ty sobi dostaniesz dyszcz, ali ja nimam z tobą nic wspólnego, rozumisz to oszoł, ty?... *sigma.*

INTERWIEW Z KSIĘDZEM FIJOŁEM W SPRAWIE „MANKIETNIKÓW“.

W smutnych czasach mamy chociaż
Trochę frajdy i uciechy,
Bo widzimy, jak się w Płocku
Dzielnie za łby wodzą klechy!

A pobożni parafianie
Dostąpili takiej łaski,
Że na karkach ich wierzących
Obie partye łamią laski!

Skąd powstała krzywda ludzka?
Skąd obraza poszła boska?
Z zasadniczej bardzo kwestyi:
„Czy *mateczką* jest Kozłowska?

Ta mateczka, czy dziewica,
Dziwny to jest przedmiot kultu!
Bo dnia niema, by w jej imię
Nie zrobiono gdzie tumultu.

Nasz ksiądz — broniąc zasad wiary
Dał po gębie Maryawicie —
Maryawita znów „naszemu“
Replikuje należycie!

Ten — wyciągnął nóż z sutanny,
Ten — na niego z spodni wyjął —
Ach! jak się tem strasznie gorszył
Współpracownik nasz — ksiądz Fijoł!

Gdyśmy go interwiowali,
Pragnąc poznać księdza zdanie,
On w te słowa odpowiedział
Na pobożne zapytanie:

„Mankietnicy — zdaniem mojem —
Postępują źle niestety!
Że nie wierzą zaślepieni
Ni w papieża, ni w mankiety!

Ta herezya — oczywiście
Jest szkodliwą i naganną,
I ja w lecie — panie tego
Nic nie noszę pod sutanną.

A w Rzym mimo tego wierzę
I regułę mam w respekcie,
I daleką myśl odemnie
O herezyi albo sekcie!

O dlaczego? Bo mam oto
Jeszcze wiarę i nadzieję,
A pod jesień — gdy jest chłodno
Zawsze — panie tego — wdzieję!

Ta zbłąkana zaś owieczka
Baranowska, czy Kozłowska,
Czy mateczką pozostanie,
To już panie — wola boska.

Wszak i ja mam gospodynię,
Którą znam, ach! od dzieciństwa,
Ale ona *pod tym względem*
Nie zrobiłaby mi świństwa!

A gdyby mnie *pod tym względem*
Szachowała antychrystem,
To zamiast się chełpić z tego,
Wygnałbym z sumieniem czystem!

Jeśli chcą więc Maryawici
Postępować z wolą Bożą,
Niech Kozłowską precz wygnają
A mankiety znowu włożą!

Ojciec święty się ucieszy,
Byłby już ich skruchę przyjął“ —
Tak poglądy swe wyjaśnił
Współpracownik nasz — ksiądz Fijoł.

Bocian.

W grajzlerni.

Kupiec: Czegoś ty chciał, mały?

Jasio: Mama kazała się kłaniać i prosiła, by pan jej zmieniał guldena.

Kupiec: Dobrze, a gdzie masz guldena?

Jasio: Mama kazała się kłaniać i powiedziała, że go jutro poszle. *sigma.*

Szczęście.

Dwaj przyjaciele Naftali Łapajówker i Simche Rebensaft, byli wspólnikami handlu bławatnego a przy rozliczaniu przyszło do ostrej wymiany słów.

— Ty jezdeś złodziej, ty jezdeś oszust, ty jezdeś łajdak — wołał Rebensaft.

— Ty sam złodziej, ty baciorz — wołał Naftali — ty kryminalista, ty brygidkinyk!...

— Nu, nu — woła zmitygowany Rebensaft — ty nie potrzebujesz się tak irytować mój Naftali, ja tak źle ni miśli, jak ty sądzisz.

— Ja także tak źle o tobi ni miszli — mówi Naftali Łapajówker — ali ja był tylko troche rozgniwany, więc ty mi przebaczysz?

Obaj wspólnicy podają sobie dłonie. Po chwili odzywa się Naftali zadowolony.

— Popatrz Simche, jakie to szczęście, co my nie jezdeśmy ani oficery, ani akademyki, ani szlachcicy, co my si tak obrażali, a teraz nie potrzebujemy si nawyt pojedynkować... *sigma*

TEATRALIA.

Dzisiaj „Bocian“ zapisuje
Fakt radosny w „Teatralia“,
Że o miejski teatr lwowski
Zakończona już batalia.

Heller objął ster teatru
W doświadczone swoje dłonie
I nadzieja jest, że pod nim
Nowa Sztuka nie zatonie!

Jest nadzieja, że w teatrze
Atmosfera będzie zdrowa,
Lecz to, co Lwowowi służy
Nie jest zdrowem dla Krakowa.

Pawlikowski razem z Solskim
Była czuła, cicha spółka,
W której brała udział także
Tadeusza przyjaciółka.

Pawlikowski kochał scenę
I miał dla niej swe zasługi
Lecz pech! Solski objął rolę
Jego konfidenta — sługi.

I zrobili kartel cichy
Teatr lwowski i krakowski,
Gdy dał Solski dymę komu
Nie przyjął go Pawlikowski.

Gdy wyrzucił zaś aktora
Pawlikowski bez powodu
Solski nie wziął go na scenę,
Choćby aktor zdychał z głodu!

I tak byłoby zostało,
Bóg wie do jakiego czasu
Los aktora był zawisłym
Od ich woli czy grymasu.

Dziś — skończyły się aktorów
Poniżenie i niewola
Teatr Heller wziął na szczęście,
I Solskiemu krzyknął: „Hola“.

Twą wielkością urojoną
Nie zawrócisz kontramarki
Ja waćpana wnet nauczę
Teatralnej gospodarki.

Jak nauczył — pokazują
Dla Krakowa smutne fakty
Wziął najlepszych nam aktorów
I podpisał już kontrakty.

Nie potrzeba już im jechać
Na prowincyę lub za kordon
Lwowski teatr już przygarnął
Sosnowskiego jak i Ordon.

Zabrał tedy Walewskiego
Weźmie i Zelwerowicza,
Wszyscy zwolna tam się znajdą
U prawdziwej Sztuki Znicza.

Nasza suma spadnie niżej
Częstochowskiej albo łódzkiej —
Będą na niej chyba sami
Grywać Solscy i — Mikucki.

Bocian.

Wydawca: Stanisław Lipiński. Redaktor odpowiedzialny: **Wiktor Nimhin.** Z Drukarni Narodowej w Krakowie ul. Gołębia 4.



Kiedy wiosna znów nastanie,
Gdy na błoniach kwitną byzie,
Trudno chłopcu i dziewczynie
Temperament trzymać w ryzie!

Wtedy spieszą dłonią w dłoni
Nad cienisty brzeg strumyka,
Gdzie bocianów klekot słychać,
Gdzie rozbrzmiewa pieśń słowika!

Lecz wieczornych tych sielanek
Niech się młodzi ludzie strzegą,
Można łatwo katar złapać,
Albo jeszcze coś gorszego!